

RECENZJE I OPRACOWANIA

Michał Lubina¹

INDYJSKIE SZALEŃSTWO

Recenzja książki Tomasza Flasińskiego: *Tygrys przepołowiony. Spór o przyszłość Bengaluru 1945–1947*, Avalon Kraków 2020, ss. 1112.

Tomasz Flasiński, dotychczasowy recenzencki postrach polskiego środowiska orientalistycznego, wydał niedawno debiutancką monografię *Tygrys przepołowiony*, traktującą o przyczynach rozczłonkowania Bengaluru: ważnego epizodu podziału dekolonizujących się Indii Brytyjskich. W swoim *Tygrysie...* Flasiński pokazał przebłysk naukowego geniuszu, połączony wszakże z isticie antypraktycznym szaleństwem.

Młot na orientalistów

Tomasz Flasiński jeszcze jako doktorant dał się poznać jako autor miażdżących recenzji publikowanych zazwyczaj w „Dziejach Najnowszych”, a czasem i na stronach polska-azja.pl czy academia.edu. Swoimi tekstami Flasiński, mówiąc kolokwialnie, ciął równo z trawą: bezpardonowo krytykował prace takich osób jak Agnieszka Kuszewska, Aleksander Głogowski czy niżej podpisany – i wielu innych. Łączył erudycję, błyskotliwy styl ze złośliwością i brakiem litości, wytykał każdy błąd, bez względu na pozycję autorów i ewentualne konsekwencje dla siebie. A ponieważ robił to w niepozabawiony humoru sposób, lektura jego diatrib stanowiła prawdziwą rozrywkę intelektualno-środowiskową. Półzartobliwe, kulturalowe wyznanie jednej z naukowych gwiazd naszej akademii: „Ja muszę uważać,

¹ Instytut Bliskiego i Dalekiego Wschodu, Uniwersytet Jagielloński, ORCID: 0000-0002-3342-1763.

ja mam Flasińskiego na głowie”, dowodzi, że stał się on prawdziwym „młotem na orientalistów”.

Intelektualna bezkompromisowość Flasińskiego, cecha bezdyskusyjnie pozytywna – tak właśnie powinny wyglądać recenzje i tak właśnie powinna wyglądać nauka! – w warunkach polskiego światka akademickiego, gdzie przerost ego jest raczej normą i gdzie za znacznie łagodniejszą krytykę można sobie łatwo napytać biedy, z modelu idealnego zamieniła się w rodzaj naukowego jurodstwa, czyli szaleństwa Bożego². Słowa ze wstępu do *Tygrysa...*, gdzie Flasiński mimochodem rzuca zdanie o osobach, które „jawnie zaszkodziły jego badaniom”, dowodzą, że autor jakąś cenę za swoją postawę zapłacił. Nad czym trzeba ubolewać, bo właśnie takich naukowych sumień jak Flasiński wszystkim nam potrzeba. Gniew na złośliwego, czepliwego recenzenta z czasem przejdzie, a – jeśli miał rację – zyski w postaci trafnych uwag zaprocentują lepszymi pracami w przeszłości.

Flasiński w formie

Sięgnąłem po *Tygrysa...* głównie po to, by się przekonać, czy Flasiński z równą swadą włada piórem w monografii, jak dotychczas czynił to w recenzjach. Choć książka (z przyczyn, o których niżej) nie jest napisana z porównywalnym polem, to pod względem polemicznym nie zawiodłem się: choć autor nie szarżuje tak jak zwykle, to formy nie traci. W książce obala twierdzenia własnego recenzenta („polskim badaczom zbyt łatwo przychodzi postrzeganie powstania Pakistanu jako efektu ideologicznego zac zadzenia”), kpi sobie ze szczególnie przez siebie nielubianych badaczek postkolonialnych („Chakravorty Spivak nie zauważyła tej ambiwalencji w poglądach Tagore’a, bo – zresztą nie tylko w tym wypadku – zakończyła analizę jego dzieł na fragmencie, który pasował jej pod tezę”) i innych lewicowców („Sumit Sarkar budzi podziw dla konsekwencji, z jaką potrafią trzymać się młodzieńczych marzeń sędziwi marksistowscy uczeni”); „zasada niesprzeczności nigdy nie była wysoko wśród komunistów ceniona”), kpi w przypisach, że tekst o udziale kobiet w ludowej rewolcie *tebhaga* w Bengalu opublikowano w „*African Journal of History and Culture*”, oraz złośliwie polemizuje z nielubianymi przez siebie poglądami innych badaczy (mnie znów się dostało za antykolonializm: zdanie

² Doświadczenie nauczyło mnie, że słowo jurodstwo trzeba (już) tłumaczyć. Chodzi więc o wzięty z Bizancjum fenomen jurodiwych, czyli „szaleńców Bożych” w średniowiecznej Rusi: jurodiwi, celowo nie zwracając uwagi na konwenanse, takie jak strój czy maniery, głosili Prawdę, często w szokujący sposób. Słowo jurodstwo ma dla mnie pozytywne konotacje, choć w ogólnym odbiorze społecznym mogą być one ambiwalentne.

o tym, że „nie cierpię brytyjskiego kolonializmu”, co w domyśle nakłada mi klapki na oczy, zapisuję do sztambucha i podkreślam wężykiem).

Pod względem stylu najlepsze są u Flasińskiego wyciągnięte ze źródeł (jego umiejętność robienia świetnych kwerend w archiwach jest imponująca) smakowite kawałki, sprawiające, że książka daje dużo intelektualnej radości. „Ideologia nigdy mi się w życiu publicznym do niczego nie przydała”, mówi u niego bengalski premier Suhrawardy i zdanie to powinno wisieć wyryte w gabinecie każdego polskiego polityka, obok maksymy *hominem te memento* i bon motu Jinnaha „polityka jest, jak szachy, grą”. Suhrawardy średnio zresztą się nadawał na twarz nacjonalizmu muzułmańskiego, gdyż „jadł szynkę, pił szkocką, ożenił się z rosyjską aktorką, zaś w salonie dworku jego rodziny stał, jakby nigdy nic, tańczący Śiwa z brązu”. Postawa Suhrawardy’ego nie była przy tym wyjątkiem – jak dowiadujemy się z kart *Tygrysa...*, w pierwszych latach Pakistanu Wschodniego zrobiono sondaż, czy wprowadzić prawo szariatu: na 17 komisarzy dystryktów za był tylko jeden – Brytyjczyk.

Równie dobre są fragmenty o zwierzchniku Suhrawardy’ego, z którym „miał złożone, nienacechowane sympatią stosunki, ale którego musiał kokietować”, czyli o Muhammadzie Alim Jinnahu, postaci (według przedostatniego wicekróla) osobliwej: „samotny, nieszczęśliwy, arbitralny egocentryk, toczący z wielkim zdecydowaniem przegraną, obawiam się, bitwę”. Na pewno zaś potrafiącej rozmawiać z prasą: „Co pan przez to rozumie, mówiąc o »rewolcie«? – spytał go amerykański korespondent. – Mówiąc o »rewolcie«, mam na myśli rewoltę – wykręcił się Jinnah w typowym dla siebie stylu”. Barwna jest również sylwetka ostatniego brytyjskiego gubernatora Bengalu, pochodzącego z awansu społecznego Fredericka Burrowsa, który na początku urzędowania przywitał się z podwładnymi po ludzku, a nie po kolonialnemu, co zrobiło na nich piorunujące wrażenie. Jak wspominał jeden z uczestników spotkania: „Te przeniesione wprost z Anglii obyczaje to było już za dużo – miałem wrażenie, że jeden czy dwóch gości zaraz omdleje”. A jednocześnie na tego samego Burrowsa, podobnie jak na innych „pełnych najlepszych chęci przybyszy z Albionu”, „sprawowanie władzy kolonialnej wpływało demoralizująco”. Już po kilku miesiącach gubernator żartował z masowych gwałtów muzułmanów na hinduskach, mówiąc, że to „nieuniknione, bo są ładniejsze niż muzułmanki”.

Do tych świetnych źródeł dochodzą u Flasińskiego trafne, nawet jeśli ciut patetyczne, komentarze odautorskie typu „zarozumiałstwo jest często sprzymierzeńcem ignorancji”, kategoryczne, acz ubrane w ciekawą frazeologię sądy („daltonizm moralny”), czy – zawsze mile widziany – czarny humor: „gdy w kwietniu Mountbattenowie zaprosili go na kolację, *Statesman* podał tę wiadomość z komentarzem »Pozostałe wiadomości o zamieszkach – strona 4«”.

Wysokiej oceny jakości literackiej *Tygrysa...* nie zmienia pewien manieryzm autora: archaizmy typu „aliści” czy „atoli” u trzydziestokilkulatka brzmią jeszcze bardziej groteskowo niż u śp. Waldemara Jana Dziaka (skąd je zapewne skopio-wano). Popularne zaś kalki z angielskiego typu „ciężko powiedzieć” czy „ciężko zweryfikować” (przypominam nieśmiało, że po polsku powinno być: trudno; ciężko to się nosi kamienie), które od biedy można darować studentom, u doktora historii nie powinny mieć miejsca. To jednak nie wpływa na wysoką ocenę literacką tekstu.

Dobry styl literacki – cecha przeze mnie bardzo ceniona, a rzadka w polskiej akademii – jest jednakowoż tylko tłem wobec podstawowej zalety tej pracy: jej wartości naukowej.

Błysk geniuszu...

Tygrys przepołowiony to prawdziwe *opus magnum*: praca monumentalna, pogłębiona i pisana z historiograficznym rozmachem. Traktuje o tym, jak doszło do samobójczego, szaleńczego dla Bengalów podziału. Na szerokim tle dekolonizacji i podziału Indii Flasiński opisuje długofalowe przyczyny wiodące do rozbicia, dynamikę społeczno-polityczną, która do niego przywiodła, oraz stara się odpowiedzieć na pytanie, czy mogło być inaczej.

Robi to świetnie.

Jego baza źródłowa jest imponująca. Był w archiwach w Delhi, Kalkucie oraz w Londynie i znakomicie to wykorzystuje: ta praca zawiera multum, ogrom wręcz znakomitych źródeł. Z nieskrywaną przyjemnością czytałem autentycznie naukową pracę napisaną z wykorzystaniem świetnych źródeł, a nie – jak to często u nas ma miejsce – utwór naukowopodobny, oparty na dyskusji z opracowaniami, będący wynikiem kompilacji tego, co napisali inni. *Tygrys...* to po prostu rzadki przykład prawdziwej nauki, i to na najwyższym światowym poziomie.

Oceny nie zmienia brak szerszych źródeł bengalskojęzycznych (część jest w tłumaczeniu zaprzyjaźnionych badaczek), wynikający z nieznamomości bengalskiego, do czego Flasiński uczciwie – i to chyba ze trzy razy – się przyznaje. Na szczęście dla autora do badania tego okresu historii subkontynentu angielski i źródła w tym języku wystarczą, bo też indyjskie elity ery dekolonizacji były tak bardzo zangielszczone, jak zromanizowany był car Aleksander II, pozbawiający polskich panów marzeń po francusku, a nie w jakimś słowiańskim narzeczu.

Po drugie, flasińskie oceny wydarzeń, procesów i aktorów biorących w nich udział są pogłębione, wyważone i niejednoznaczne, trzymają naukową dyscyplinę, z dala od polemicznej zadziorności i jednostronności charakterystycznej dla jego twórczości recenzyjnej (to, co tam jest zaletą, tu byłoby wadą). Fakty opisywane

są bardzo rzetelnie, z dystansem i z obiektywizmem, na tyle, na ile jest to w ogóle możliwe. Lekkie sympatie i antypatie autora, choć odczuwalne – o czym za chwilę – trzymane są w dopuszczalnych ryzach. Najważniejszą wszakże zaletą *Tygrysa...* jest poziom intelektualny tej pracy. Z autentyczną umysłową przyjemnością, zmaconą co prawda trochę objętością tego dzieła, obcowałem z tak mądrą książką, jedną z najlepszych, jeśli nie najlepszą pracą o historii Indii po polsku. Jest głębia!

Flasiński pokazuje, jak wlanie się wspólnotowych (używa tu słowa „komunistyczny”) nienawiści w hindusko-muzułmańskie serca pobratymcze doprowadziło do dynamiki wiodącej do tragicznego podziału. Jak nie zapanowali nad tym procesem miejscowi politycy, pasujący do filozoficznych rozważań Makiawela („nie wdzięczni, zmienni, kłamliwi, unikający niebezpieczeństw i chciwi” poklasku, „żli, jeżeli konieczność nie zmusi ich to tego, by byli dobrzy”)³, którzy nawet jeśli mieli dobre intencje, to nie umieli zapobiec katastrofie. Jak miejscowa kultura polityczna, w której pojmowanie demokracji równa się dyktaturze większości, przyczyniła się do tragicznego rozlewu krwi, którego nikt nie chciał. Każdy się bał i starał zatrzymać lub zminimalizować wzbierającą przemoc („trudno było przeoczyć, że w poprzednich latach strzelanie do demonstrantów przynosiło ofiary i wzrost nienawiści, ale rezygnacja ze strzelania okazała się dawać rezultaty jeszcze gorsze”), a jednak szaleństwo podziałowe nastąpiło i doprowadziło do morza krwi.

Autor nie lubi teorii socjologicznych ani politologicznych, co deklaruje z charakterystyczną dla siebie zadziornością na sam koniec książki (tak, by czytelnik na pewno zapamiętał!), więc trochę prawem polemiki, a trochę z przekory mu podpowiem, że to, co opisał, świetnie ilustruje teorię „niezamierzonych konsekwencji”. Według niej od różnych nieplanowanych zdarzeń rozpoczyna się kaskada rządząca się logiką nieprzewidzianych konsekwencji, na którą decydenci dopiero później zaczynają odpowiadać. Ich działania są jednak głównie reaktywne. To nie tak, że przywódca coś planuje, a potem konsekwentnie realizuje założony schemat. Raczej rzeczywistość wymusza na nim reakcję, często połowiczną i spóźnioną. Oczywiście, trudno się przyjmuje tę logikę do wiadomości, szczególnie w kulturach okcydentalnych, bo ludzie, szczególnie na Zachodzie, mają tendencję do

³ Fragment pochodzi *Księcia*; powyższy wywód zaś jest mój, a nie Flasińskiego. Podaję go tu z dwóch powodów. Po pierwsze, uważam, że pasuje. Po drugie, Flasiński ongiś nie zrozumiał mojej interpretacji Aung San Suu Kyi, twierdząc, że u mnie „Nagle i niepostrzeżenie polityk, który się wybił, staje się w tych wywodach wyższą istotą, którą obowiązuje nieco inny zestaw norm niż resztę świata”. Nie wyższą (to żaden Übermensch!) tylko inną, na alternatywnym poziomie etycznym: to rozdzielenie dwóch moralności dobrze pokazał w swoim klasycznym eseju o Machiavellim Isaiah Berlin (mój opis Suu Kyi jest po prostu przyłożeniem tej filozofii na realia birmańskie). Wspominam o tym dlatego, że opisywani przez Flasińskiego politycy zachowują się dokładnie tak samo jak Suu Kyi, co utwierdza mnie w przekonaniu, że takie postawy są po prostu wpisane w naturę uprawiania polityki.

nadmiernej racjonalizacji rzeczywistości i do nadawania celowości działaniom różnych aktorów – państwowym, rządowym, decydującym. To jest wygodne, bo lubimy mieć uporządkowany świat i z trudem akceptujemy założenie, że wszystko to mniejszy lub większy chaos. A tymczasem tak naprawdę najczęściej dzieje się samo z siebie, przypadkiem i w sposób niezamierzony. Podział Indii, a co za tym idzie Bengalu, też był niezaplanowany, a jednak doprowadziła do niego właśnie logika niezamierzonych konsekwencji. To oczywiście interpretacja moja, nie Flasińskiego, ale prezentowany przezeń materiał dość dobrze to ilustruje.

Wracając do samej treści książki, jej dwiema najlepszymi częściami są rozdział o Wielkiej Rzezi Kalkuckiej i podrozdział o Gandhim w Bengalu. Rzezi na pewno nie oczekiwano; politycy organizujący wiece wzięli na nie nawet własne dzieci, myśląc, że będzie festyn, a zrobił się wzajemny hindusko-muzułmański pogrom. Rozdział pokazuje, jak przemoc wessała ludzi wbrew ich woli – szaleństwo wspólnotowych rzezi ogarnęło kilkumilionowe miasto – i uruchomiło fatalną dynamikę prowadzącą do podziału (w tym rozdziale bardzo przydaje się to, że Flasiński w Kalkucie był: czuć, że zna miasto i jego topografię, a nie tylko pisze z biurki). Co do mojej drugiej ulubionej części, opisuje Mahatmę Gandhiego jako niezwykle krzyżówkę indyjskiej wersji jurodiwego z populistą i pragmatycznym politykiem – opis realizuje Flasiński z życzliwą ironią⁴. Autor dobrze udowadnia tezę, że myśl Gandhiego była tak naprawdę eklektyczna, idąca w poprzek podziałów na Wschód i Zachód („choć on sam wierzył, że stoi za nim duch Indii”). Mahatma z pracy Flasińskiego, mimo swoich wad, a może dzięki nim, wzbudza znacznie więcej sympatii – lub współczucia – niż inni indyjscy politycy, w tym jego uczniowie Nehru i Patel, którzy go ograli i uczynili z niego symboliczną paprotkę.

Bardziej krytycznie należy podejść do innych fragmentów książki. Autor nie lubi Jinnaha, za to fascynują go Fazlul Huq i Suhrawardy, i to do tego stopnia, że delikatnie, niemal niepostrzeżenie zaczyna fałszować szale wagi dziejów na ich korzyść (szczególnie na rzecz Huqa)⁵. Robi to nienachalnie – poprzez dobór języka, empatyczną interpretację ich działań czy odrzucanie skrajnych przeciw nim zarzutów – a może nawet nieświadomie. Po lekturze nie sądzę jednak, by Suhrawardy czy Huq zasługiwali na większą dozę sympatii niż Jinnah (a takie wrażenie czytelnik może odnieść) tylko dlatego, że mieli rację odnośnie do niedzielenia Bengalu.

⁴ Przyrównanie Gandhiego do jurodiwego, populisty i pragmatyka jest znów moje, nie Flasińskiego, jego opis wszakże nasuwa taką interpretację.

⁵ Huqa Flasiński wybiela jakby bardziej, natomiast Suhrawardy go chyba bardziej fascynuje, o czym świadczy kilkukrotne porównywanie go do postaci literackich, np. „niewiele sytuacji tak dobrze charakteryzuje bengalskiego premiera: jednocześnie Hamleta, przewidującego męża stanu i polityka skłonnego do daleko idących meandrów, byle władza nie wymknęła mu się z rąk”. Raz nawet Suhrawardy zostaje Klaudiuszem, co mnie frapuje o tyle, że ten sam Flasiński kilka lat temu ganił mnie za używanie w książce naukowej porównań do literackiego Klaudiusza.

Wszyscy oni byli podobnymi krętaczami, co zresztą jest wpisane w wykonywany przez nich zawód, wszystkich przerosły procesy społeczno-polityczne, wszyscy w ten czy inny sposób przegrali i okazali się postaciami tragicznymi. Wreszcie jako ontologiczny antykolonialista nie mogę nie skrzywić się na wyrażnie życzliwą kolonialistom narrację Flasińskiego: za bardzo jest on skłonny brać w obronę brytyjskie dziedzictwo, a za mało dostrzega katastrofalnych skutków tego, co swoją obecnością subkontynentowi zrobili, co prawdopodobnie wynika z faktu, że więcej czasu w swoim życiu spędził on w brytyjskich archiwach, niż mieszkał w Azji.

Są to jednak, prawdę mówiąc, didaskalia. Nie zmieniają one podstawowej oceny: to znakomita książka (nazwałbym ją książką profesorską, gdyby nie to, że nie jeden profesor nigdy takiej pracy nie napisze). Prawdziwy problem z *Tygrysem...* polega na czymś innym.

...i szaleństwa

Tak jak należy chwalić Flasińskiego za treść książki, tak należy – stosując (nad) używane porównanie Jerzego Rohozińskiego – wymierzać mu „razy szpicrutą” za jej formę. To, co zrobił Flasiński, to spektakularny przykład zepsucia własnego dzieła, to bramka samobójcza z przewrotki.

Książka ma – uwaga! – 1111 stron, z czego 1063 to tekst Flasińskiego *sensu stricto*, z przypisami zajmującymi nieraz jedną trzecią strony, a czasem wręcz pół (nie znaleziono chyba lepszego sposobu, by zniechęcić czytelnika). Sam Flasiński deklaruje, że „praca ta to pod względem rozmiarów istne monstrum”. Tak! Tak właśnie! To monstrum, zapamiętajmy to słowo.

Nie przemawia do mnie argumentacja ze wstępu, że inaczej się nie dało. Nie tylko dlatego, że sam tak kiedyś myślałem (moje dawne książki miewały po 600 czy 800 stron, a czasem i przypisy do pół strony; dopiero z czasem nauczyłem się pisać monografie na 150 stron)⁶. Powinno było się dać. Można było spokojnie to skrócić do około 500 stron (obecnie tak obszerna praca jest wręcz błędem metodologicznym) albo wydać z tego cztery książki. Do właściwego tematu pracy Flasiński dochodzi na stronie 398 – wcześniej jest to po prostu historia Bengalu (skądinąd fascynująca, ale na inną książkę!) – a i tak kilka razy potem znów się cofa

⁶ Umiejętność niewłączenia przypisu, powstrzymania się od dygresji czy skrócenia o połowę tekstu dla czytelności pracy jest jedną z ważniejszych kompetencji, jakie zdobywa się w toku kariery naukowej. Skądinąd też kiedyś tego nie umiałem i wciąż się tego uczę (ta recenzja też jest za długa), więc potraktowałem czytanie stanowczo za długiego *Tygrysa...* jako swoistą pokutę za własne dawne wodolejstwo.

w czasie. Najbardziej spójnym i zwięzłym fragmentem książki jest... dopiero *resumé* po angielsku.

Po drugie, Flasiński wyraźnie chciał potwierdzić swoją książką nieśmiertelny *bon mot* Grzegorza Kołodki: „wiele rzeczy dzieje się tak, jak się dzieje, bo wiele rzeczy dzieje się naraz”. Jednak skutkiem tego jest takie rozszerzenie wątków, że czytelnik już się gubi (jak chociażby w pobocznej kwestii Asamu). Można było to skrócić, podsumować zwięźlej i uczynić książkę mniej monstualną. Zdaję sobie sprawę, że Flasiński chciał powiedzieć wszystko, niestety potwierdził tym sparafrazowaną przestrożę Oscara Wilde’a: „chcąc wyczerpać temat, wyczerpał czytelników”⁷.

Do stanowczo za długiego tekstu dochodzi koszmar estetyka wydania. Komiksowo-kiczowata okładka (grafik płakał, jak projektował!) pasuje jak pięść do nosa do poważnej zawartości. To się nadaje na jakiś mem, a nie na poważną pracę, i książce na pewno się nie przysłuży.

Nie lepiej jest z tylną okładką. Do treści książki nie pasuje pretensjonalny, preintelektualizowany tekst, brzmiący jak naukowa wersja Paula Coelho („wydobyte z archiwów dokumenty potrafią się ułożyć w dramat na miarę *Lorenzaccia* De Musseta czy tragedii Szekspira. I o tym, że Inny nie jest tak znowu Inny od nas – wbrew tym, którzy chcą w nim widzieć bezczasowego mędrca, dzikiego fanatyka czy wcielenie Odmienności Niepojętej z powieści Coetzeego”). *Tygrys...* to rzadki zaiste przypadek, gdy tekst na okładce jest najgorszą, a nie najlepszą częścią dzieła. Spis żalów niech zwieńczy wybór wydawnictwa, Oxford University Presse niebędącego.

Wybory estetyczne Flasińskiego są tak szalone, tak skrajnie antypraktyczne (Kto to kupi? Kto to przeczyta?), że prowokują do pytań typu: „dlaczego on to sobie zrobił?”. Ba! Wyglądają wręcz na celową autodywersję. Są jak zgoła programowa pogarda wobec formy, godna bardziej artysty niż naukowca, co byłoby do przyjęcia, gdyby nie obawa, że przez to ta znakomita książka przepadnie niezauważona.

⁷ W oryginale jest „słuchaczy” (por. „Like all people who try to exhaust a subject, he exhausted his listeners”), ale na jedno wychodzi, zasada jest ta sama.